



JOANNA PUCHALSKA

KRESOWI *Sarmaci*

FRONDA

KREŚOWI *Sarmaci*

[Kup książkę](#)

JOANNA PUCHAŁSKA

KRESOWI *Sarmaci*

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okładka: Anna Kierzkowska
Zdjęcie na okładce: Andrzej Mikiciak

Szef projektów wydawniczych:
Maciej Marchewicz

Redakcja i korekta:
Ewa Popielarz

Skład i łamanie:
TEKST Projekt, Łódź

Copyright:
© by Joanna Puchalska, Warszawa 2015
© for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2015

ISBN 978-83-8079-010-0

Wydawca:
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-230 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Fax. 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI

Wstęp.....	7
Rozdział 1. Cudowny szafir albo hrabia Michał Walicki	13
Rozdział 2. U obywatela U., czyli w krainie zajazdów.....	31
Rozdział 3. Fabian Ignacy Bułhak, czyli przypadki księdza Robaka	49
Rozdział 4. Generał Bielak i inni.....	67
Rozdział 5. Nadniemeński słowik	89
Rozdział 6. Ślub w wileńskim więzieniu	121
Rozdział 7. Wybraniec Pański Zygmunt Sierakowski	153
Rozdział 8. Ziemia Jana Bułhaka.....	191
Rozdział 9. Edward Woyniłłowicz, obywatel Kresów	219
Rozdział 10. Szlachcic polski Aleksander Meysztowicz.....	251
Rozdział 11. Gawędy pana Bogusława	285
Rozdział 12. Niewidomy muzyk z Worończy	315
Rozdział 13. Dzieje rotmistrza Brzozowskiego.....	335
Rozdział 14. Kapelan z Białej Fary	363
Źródła	385



JOANNA PUCHALSKA, rodzinie związana z Nowogródczyną, skończyła historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Tłumaczka literatury angielskojęzycznej, od kilku lat zajmuje się tematyką kresową. Publikuje m.in. w miesięczniku „wSieci Historii”. Przygotowany wspólnie z Anną Lisiecką cykl audycji, emitowanych w radiowej Jedynce pod tytułem *Droga do Soplicowa*, odsłaniających kulisy powstawania *Pana Tadeusza*, w 2011 roku został uhonorowany przez SDP wyróżnieniem Nagrody im. Macieja Łukasiewicza. Autorka wydanej w 2014 roku książki *Dziedziczki Soplicowa*.

WSTĘP

Polonus sum, Poloni nihil a me alienum puto.



„**P**olakiem jestem i nic, co polskie, nie jest mi obce”. Tą parafrazą sentencji Terencjusza zaczyna się jedna z najbardziej sarmackich książek świata: *Pamiętki JPana Seweryna Soplicy cześnika parnawskiego* autorstwa Henryka Rzewuskiego. Narrator, rzeczony Seweryn Soplica, snując opowieści z czasów konfederacji barskiej i panowania Stanisława Augusta, oprowadza czytelnika po szlacheckim świecie, w którym autor był rozmiłowany od dzieciństwa. Sam Rzewuski twierdził, że obraz zaścianka w *Panu Tadeuszu* został skonstruowany z tego, co on opowiadał Mickiewiczowi. Opowiadać zaś umiał pierwszorzędnie i jego *Pamiętki Soplicy*, książka ciepło przedstawiająca cnoty i przywary naszych przodków, tak jak ongiś, również współcześnie potrafi obudzić w czytelniku nostalgię za dawnymi czasami, jak za jakimś utraconym rajem.

Kultura szlachecka była kulturą opowieści. Przeciętny szlachcic mało co czytał, za to dużo mówił, do czego przygotowywała staropolska szkoła, ucząca perorować długo i kwieciście. Równie chętnie opowiadaczy słuchano i może dlatego w naszej literaturze wykształcił się gatunek gdzie indziej nieznany – gawęda szlachecka. Bohaterowie gawęd to często postacie nietuzinkowe, których „przypadki” wzruszały, straszyły, śmieszyły. Prawdziwy Sarmata był bowiem człowiekiem bardzo emocjonalnym i takiej działającej na emocje strawy intelektualnej potrzebował.

Do tej książki wybrałam postacie, które poruszyły moje emocje. Są wśród nich ziemianie, żołnierze, księża, działacze niepodległościowi, poeta, powstaniec styczniowy, politycy i artyści. Zaledwie kilku z nich należy do epoki sarmackiej, co oznacza, że przynajmniej pamiętają oni z młodości czasy Pierwszej Rzeczypospolitej. Pozostali, żyjący później, wyznają natomiast ten system wartości religijnych, obywatelskich, rodzinnych i obyczajowych, który pozostawił w spadku sarmatyzm, rozumiany jako poszukiwanie przez szlachecką brać własnej tożsamości. Co tych ludzi łączy? Herbowe pochodzenie, umiłowanie tradycji, wierność dawnym ideałom i duma z bycia Polakiem. Ale żeby nie było tak grzecznie, że aż niewiarygodnie, w tym gronie kresowych typów znalazło się dwóch sądowo-zajazdowych pieniaczy i jeden szuler-dżentelmen, postacie chronologicznie mieszczące się w przedziale czasowym epoki sarmackiej, które również charakterologicznie pasują do świata opisanego przez imć pana cześnika parnawskiego.

Sarmatyzm rozumiany jako system wartości, a nie ideologia szlacheckich pijanic i rozrabiaków, umożliwił Polakom przetrwanie trudnych czasów rozbiorów. Był skuteczną bronią w walce przeciw zaborcom. Ci zaś dobrze wiedzieli, że niszcząc szlachtę i inteligencję, łatwiej sobie podporządkują pozostałe grupy społeczne.

Sarmackie jest bowiem umiłowanie wolności i przekonanie, że władza nie powinna być absolutna, lecz wyłaniana wyborem obywateli i przez nich kontrolowana. Zaś opozycja polityczna

nie jest zbrodnią – jak to było w Rosji – ale zasługą i obywatelskim obowiązkiem. Takie przekonania mieli Tomasz Bułhak, Edward Woyniłłowicz i Aleksander Meysztowicz.

Sarmatyzm kochał to, co rodzime, cenił prostotę i obyczajność. Zajęciem godnym szlachcica było gospodarowanie na własnej ziemi, jak czynili z wielkim powodzeniem Edward Woyniłłowicz, Bogusław Zaleski, Aleksander Meysztowicz, a także dwaj skłócenie ze sobą sąsiedzi: Krzysztof Niezabytowski i Józef Użłowski, oraz najślynniejszy szuler Pierwszej RP Michał Walicki.

Sarmata bronił świętej wiary katolickiej, nie żałując przy tym własnego życia i wolności, jak duchowni Fabian Ignacy Bułhak i Aleksander Zienkiewicz. I zawsze gotów był się stawić na wezwanie ojczyzny, co pokazali generał Józef Bielak, Zygmunt Sierakowski, Bogusław Zaleski, Jerzy Brzozowski czy rodzeństwo Dalewskich. Wreszcie Sarmata umiał cieszyć się pięknem świata odziedziczonych po przodkach, a niektórzy dzięki danym od Boga talentom potrafili o tym odziedziczonym pięknie opowiedzieć sztuką słowa lub obrazu, jak czynili to Władysław Syrokomla i Jan Bułhak.

Tu pragnę Czytelników gorąco zapewnić, że to czysty przypadek, iż aż trzech moich bohaterów nosi nazwisko Bułhak. O tej silnie rozgałęzionej rodzinie mówiono na Litwie, że „co krzaczek, to Bułhaczek”. Stąd, poruszając się głównie po najlepiej mi znanym terenie Nowogródzczyzny (podobnie zresztą jak Rzewuski!), co chwila na kogoś z tej rodziny się natykałam.

Dialogi w opowiadaniach starałam się w miarę wiernie opierać na źródłach, takich jak wspomnienia, pamiętniki, relacje świadków wydarzeń, chcąc trzymać się jak najbliżej tego, jak było naprawdę. Czasem jednak nie pozostawało nic innego, jak uruchomić wyobraźnię, co miało miejsce między innymi w przypadku przedzajzdowych knoń zwaśnionych szlachciców czy rodzinnej rozmowy państwa porucznikostwa Bielaków.

Część opisanych tu historii w mocno okrojonej wersji była już publikowana wcześniej w miesięczniku „wSieci Historii” oraz w „Przeglądzie Tatarskim”. Ze względu na ograniczenia miejsca

trudno było jednak na łamach czasopism obszerniej opowiedzieć dzieje tych kresowych Sarmatów. Książka daje znacznie większe możliwości rozwinięcia skrzydeł niż miesięcznik, ale i tak w żadnym przypadku nie może być mowy o wyczerpaniu tematu. Moim bohaterom należą się osobne publikacje, czego kilku z nich już się szczęśliwie doczekało. Zaslugują na scenariusze do filmów niosących nadal potrzebne przesłanie, że jako Polacy mamy z kogo być dumni. Dewiza „ku pokrzepieniu serc” pozostaje wciąż aktualna.

Chciałabym podziękować wszystkim współczesnym Sarmatom i Sarmatom, których pomoc znacznie ułatwiła, a czasem wręcz umożliwiła moje zadanie.

Za relacje osobiste i za rodzinne zdjęcia – Marii Olszyńskiej, krewnej ostatnich właścicieli dworu w Woronczy, i Pani Czesławie Zwierko-Piotrowskiej, która dobrze знаła księdza Aleksandra Zienkiewicza i współpracowała z nim. Także Mariuszowi Łojce specjalne podziękowanie za udostępnienie relacji jego ojca, Bolesława Łojki, o księdzu Zienkiewiczu oraz za zdjęcia.

Bohdanowi Bułhakowi za możliwość zamieszczenia zdjęć jego dziadka Jana Bułhaka.

Kamilli i Michałowi Brzozowskim za zdjęcia do opowieści o ich dziadku Jerzym, ostatnim rotmistrzu 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich.

Pani Gizeli Chmielewskiej za pomoc w zdobyciu materiałów i zdjęć do opowiadań o Edwardzie Woyniłłowiczu i Bogusławie Zaleskim, dwóch wybitnych obywatelach Mińszczyzny.

Panu Krzysztofowi Kolbergowi za udostępnienie zdjęć do rozdziału o Edwardzie Woyniłłowiczu.

Stanisławowi Jabłonowskiemu za użyczenie maszynopisu *Wspomnień* wspaniałego kresowego gawędziarza Bogusława Zaleskiego, a wnukowi mojego bohatera, Panu Krzysztofowi Zaleskiemu, za udostępnienie rodzinnych zdjęć.

Andrzejowi Falewiczowi za cenne zdjęcie redakcji petersburskiego „Słowa”, ukazujące Zygmunta Sierakowskiego wśród przyjaciół myślących podobnie jak on.

Michałowi Karpowiczowi za pomoc w uzyskaniu ilustracji mundurów Tatarów polskich, naszych panów braci i do szabli, i do szklanki.

Doktorowi Jazepowi Januszkiewiczowi z Rakowa na Białorusi za wskazówki bibliograficzne, możliwość porządkującego materiału przedyskutowania niektórych tematów i zagadnień oraz nakierowanie na dobre źródła zdjęć.

Pani Ewie Popielarz za miłą współpracę przy redakcji kolejnych rozdziałów, za cierpliwość, sumienność i wyrozumiałość.

Wydawnictwu Fronda za śpieszenie z pomocą przy wszelkich problemach towarzyszących pisaniu i szukaniu ilustracji.

Na koniec nie mogę się oprzeć, żeby nie przytoczyć motta innej ważnej dla mnie książki, tym razem reprezentującej sarmatyzm w wersji oświeconej. Swojego *Pana Podstolego* księżę biskup warmiński Ignacy Krasicki otwiera łacińskim cytatem: *Moribus antiquis*. Warto go rozwinąć i przypomnieć – są to słowa rzymskiego poety Kwintusa Enniusza, rozpowszechnione przez Cyncerona, które w pełnej wersji brzmią: *Moribus antiquis res stat Romana virisque*. Co znaczy:

„Dawnymi obyczajami i mężami trwa Rzeczpospolita Rzymska”.

Joanna Puchalska

CUDOWNY SZAFIR ALBO HRABIA MICHAŁ WALICKI

*Z panów zaś wielkich i paniczów kto nie znał kart,
kto nie mógł się pochwalić, że podczas publiki w Warszawie
albo podczas kontraktów we Lwowie,
albo na trybunałach nie przegrał lub nie wygrał w karty sta
jednego i drugiego tysięcy, a miał po temu fortunę, ten był
poczytany za grubianina i źminde.*

Jędrzej Kitowicz, Opis obyczajów za panowania Augusta III



Gra w faraona zasadniczo jest prosta, a tym większy budziła entuzjazm, że nie wymagała szczególnych umiejętności. Przy wsparciu fortuny da się rozmnożyć postawionego na kartę dukata nawet do kilku ich tysięcy. Jeden gracz, zwany bankierem, wyklada na stół stos dukatów. Pozostali, w dowolnej liczbie, to poniterzy. Każdy z nich kładzie przed sobą kartę ze swojej talii, a na niej stawkę. Bankier rozkłada karty z własnej talii na dwie kupki. Prawa to wygrana bankiera, lewa – poniterów. Poniter może wycofać się, zabierając wygraną, ale może też grać dalej, ta kolejna faza gry nazywa się „na parol”. W tym przypadku poniter łamie róg swojej karty, co oznacza, że w razie wygranej stawka zostaje podwojona. Jeśli wygrał po raz drugi, może zagiąć następny róg i tak aż do czwartego, za każdym razem grając o coraz więcej. Powiedzmy, że poniter ma damę pik, na którą postawi dukata. Gdy przegra,

stawkę zabiera bankier, gdy wygra, bankier wypłaca mu dukata. Poniter ma wtedy dwa dukaty, może je zabrać lub grać na parol, a wtedy w razie wygranej zgarnie osiem dukatów. I tak dalej. Najlepiej wygrać pierwsze rozdanie, a potem grać na parol i wygrywać. Oczywiście bankier może zręcznie oszukiwać, tak manewrując kartami, żeby właściwe wypadały po jego stronie, zwłaszcza przy dużych stawkach. I na tym to często polegało.

W doborowym gronie międzynarodowych karciarzy nie brakowało Polaków, a najsłynniejszym z nich był Michał Walicki. Podobno nie było to jedyne nazwisko, którego używał, bo bywał też panem Mickiewiczem, jako że – jak tajemniczo pisze Jan Śniadecki – „dla pewnych ważnych przyczyn był przymuszony [nazwisko] odmienić”. To niezwykle barwna postać doby Oświecenia: awanturnik i karciarz, a jednocześnie filantrop, arbiter elegantiarum i koneser sztuki. Nie tylko trafił do literatury pamiętnikarskiej, lecz także dorobił się hasła w *Encyklopedii Orgelbranda*, wzmianki u Glogera tudzież wizerunku w tomie piątym *Dziejów Polski ilustrowanych* pióra prof. Augusta Sokołowskiego. Do tego zainspirował poczytną francuską autorkę do napisania utworu cieszącego się w owym czasie dużą popularnością.



Urodził się na Mińszczyźnie w roku 1746 w rodzinie zaściankowego szlachcica. Tadeusz Bułharyn, pisarz, krytyk, dziennikarz i płatny carski agent, który znał go dobrze, podaje, że Walicki kształcił się u jezuitów w Mohylewie na koszt jego wuja, krajczego litewskiego Buczyńskiego. Opiekun do rozrzutnych nie należał, toteż późniejsza fama głosiła, że chłopiec często chodził głodny i w związku z tym miał zwyczaj wygrywania od kolegów w karty już to obiadu, już to podwieczorku. Fama owa również niedwuznacznie sugerowała, że to z tych trudnych początków wykluła się olśniewająca kariera gracza i bywalca pierwszych salonów Europy. Wtedy grali niemal wszyscy, takie bowiem nastały czasy i moda. „Partyjka” nierzadko przeciągała się

do wielu godzin. Wygrywano i przegrywano fortuny, czasem niewyobrażalne.

Po ukończeniu przez młodego człowieka nauk Buczyński wezwał go do siebie i co prędzej w szeroki świat wyprawił, chcąc mieć jak najszybciej kłopot z głowy.

– Czas, mój chłopcze, pokazać, coś wart. Na początek masz ode mnie konie, bryczkę i błogosławieństwo. Pamiętaj, żeś szlachcic, choć ubogi.

Pan krajczy ciepłą ręką dorzucił jeszcze parę pistoletów, woźnicę, chłopca do posług, pościel i bieliznę, a także 100 dukatów i listy polecające do Warszawy i Wilna. Młodzian się pokłonił, w rękę dobrodzieja ucałował i tak wyposażony wyruszył w drogę. Mając już ugruntowane upodobanie do gry kartowej, dość szybko wyposażenie stracił i aby z czegoś żyć, zatrudnił się przy bilardzie we Lwowie (Henryk Rzewuski w *Teofraście polskim* twierdzi, że w Krakowie) jako markier, czyli posługacz znaczący wygrane. W grze tej też nabrał biegłości i wtedy poznał go młody książę Franciszek Sapieha (według Rzewuskiego protektorem tym był młody Sołtyk, synowiec księcia biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka), który zgodnie z duchem epoki nie uważał namiętności do gry za rzecz naganną. Sam miał skłonności do awantur, a po Europie podróżował z jednym kamerdynerem i zapasem weksli bankierskich. Znał dobrze Buczyńskich, jako że też z Białej Rusi pochodził, zainteresował się więc protegowanym pana krajczego. Zabrał Michała ze sobą do Wiednia, a gdy musiał wracać do domu, odpowiednio sypnął groszem, umożliwiając mu powrót do szulerskiego fachu. Pieniądze opiekuńcza przyniosły szczęście młodemu Walickiemu, który w „pokątnym traktyjerze” w naddunajskiej stolicy bardzo szybko się odkuł. Kolejnym protektorem zdolnego Polaka stał się poznany przy faraonie węgierski wielmoża, który pewnego wieczoru *incognito* zjawił się w przybytku hazardu.

– Kto pan jesteś? – zapytał z ciekawością siedzącego naprzeciwko młodzieńca, gdy już przegrał do niego wszystko.

– Pretendent do korony polskiej – odparł ten spokojnie.

– A to jakim prawem?

– Prawem urodzenia. Jestem szlachcic polski. Nazywam się Walicki, a wiadomo panu, że każdy szlachcic polski może być królem obrany.

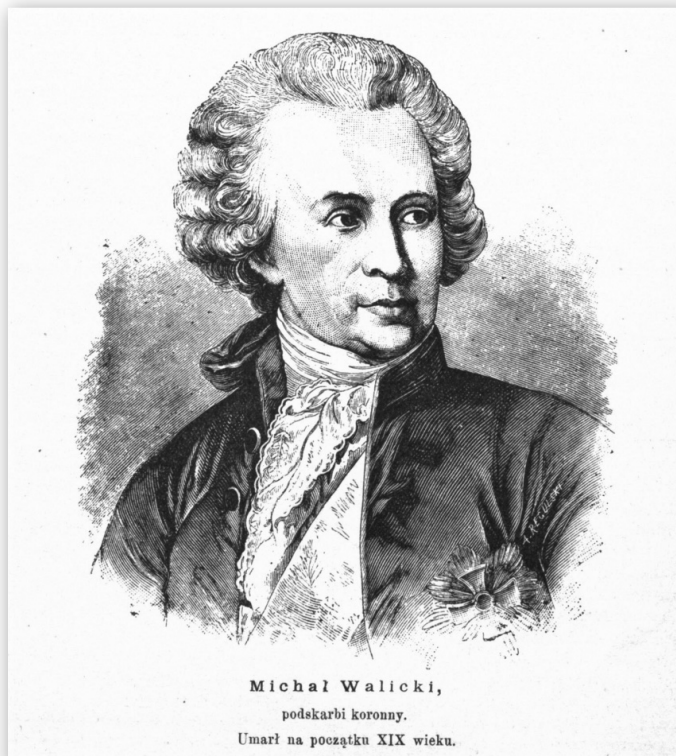
Odpowiedź zrobiła na nieznanym wrażenie i postanowił zdradzić swoją tożsamość.

– Mam honor rekomendować się panu wzajemnie, jestem księżę Esterházy. Panu jako pretendentowi do korony polskiej i mnie jako magnatowi węgierskiemu nie przystoi odwiedzać takich jak to miejsc, ale czasem w nich bywam dla zabicia czasu.

– Ja zaś chodzę tam z potrzeby. – I Walicki opowiedział o swych dotychczasowych przygodach.

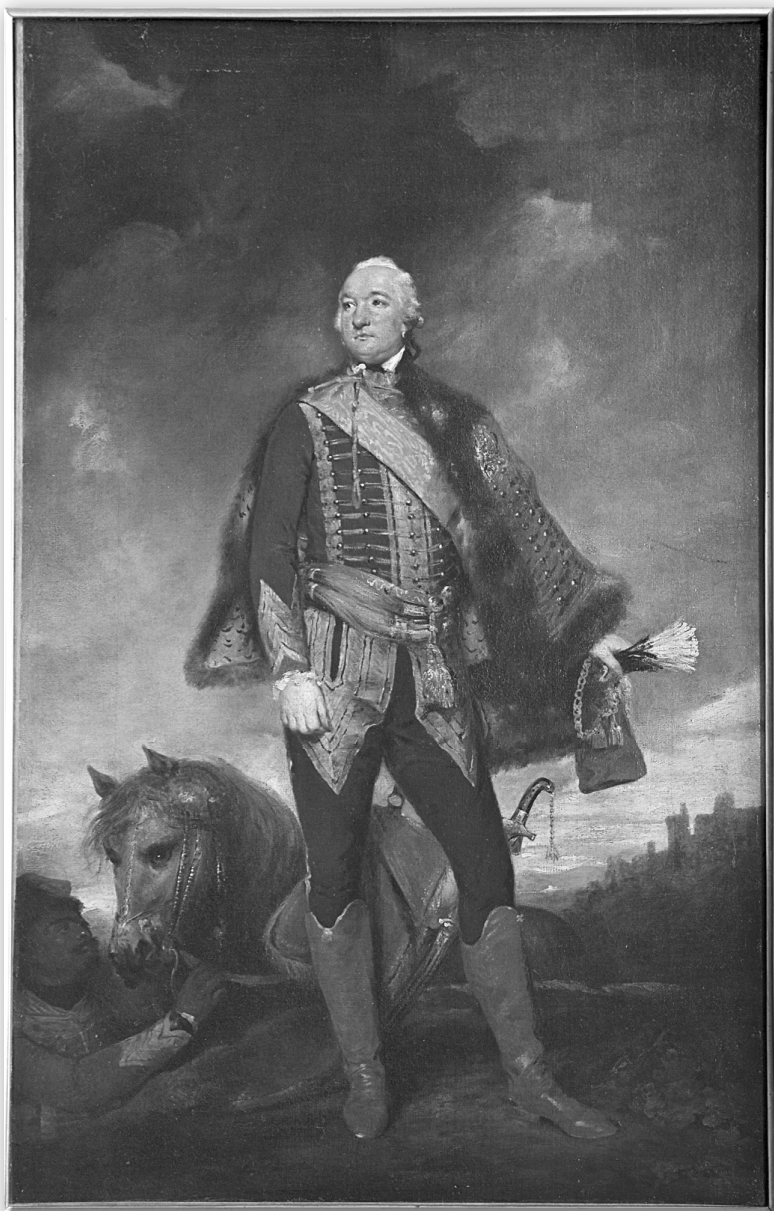
Choć Węgry ten wieczór słono kosztował, Polak przypadł mu do gustu, więc najpierw przedstawił go swoim wiedeńskim przyjaciółom, a potem zaprosił do Paryża i tam zaprezentował księżnej Polignac, przyjaciółce królowej Marii Antoniny. Tak nasz bohater trafił na wykwintne salony, a także do domu Krzysztofa Wiesiołowskiego, archeologa i znawcy numizmatów, konesera sztuki, od którego nabył fachową wiedzę, mającą mu się później bardzo przydać. Gry kartowej naturalnie nie zaniechał, tyle że uprawiał ją teraz nie w podejrzanych spelunkach, ale w najlepszych sferach, wprowadzony na dwór królewski przez diuka Orleanu, któremu przedstawił go kolejny protektor – Stanisław Sołtyk, bratanek biskupa.

I tak prosty szlachetka z Mińszczyzny zasiadał do kart z Ludwikiem XVI, Marią Antoniną, hrabią d'Artois (późniejszym Karolem X) i największymi panami Francji. Podobno sama królowa darzyła go wyjątkowym zaufaniem. Zresztą wszyscy go lubili. Miał nienaganne maniery, był uroczy, szarmancki wobec dam, a do tego, jak pisze Henryk Rzewuski: „Nigdy o nic się nie sprzeczał, wątpliwe wypadki w grze zawsze przeciwko sobie nawiązywał, kredytu nikomu nie odmawiał, nikomu się nie naprzykrzał o zapłacenie jemu należności”. Nic dziwnego, że zrobił towarzyską karierę.



*MICHAŁ WALICKI, słynny awanturnik, obieżyświat, szuler,
podstoli koronny, kawaler Orderu Orła Białego*
(Dzieje Polski ilustrowane Augusta Sokołowskiego, Biblioteka Narodowa)

Ograny przez niego doszczętnie diuk Orleanu zaproponował spółkę. Księżę finansował owo przedsięwzięcie i naganiał ofiary z najbogatszych rodzin, reszta należała do Polaka. Ten w karty i w bilard łupił nieszczęśników, za co pobierał czwartą część wygranej. Według Rzewuskiego: „jednym sztosem partię zaczynał i kończył, najnieprawdopodobniejsze do trafienia zapędzał w luzy o zakład”. Podobno na królewskim dworze w jedną noc ograł na 300 tysięcy franków bilardowego mistrza lorda Stanleya, „który wielu panów w Wielkiej Brytanii był w tę grę zrujnował”.



KSIĄŻĘ ORLEANU, finansujący przedsięwzięcie wspólnik Walickiego w szulerskim rzemiośle. Portret pędzla sir Joshuy Reynoldsa z ok. 1779 r.

(Wikimedia Commons)

Całe wykwintne towarzystwo z zapartym tchem śledziło pojedynek i klęskę Anglika.

Kto wie, może w tym czasie i jakaś agentura była na rzeczy, w końcu Walicki obracał się wśród najmożliwszych tego świata i znał niejednego ich sekret, a zatem wiadome służby mogły przynajmniej próbować werbunku – nie ludźmy się, działały już wtedy i to całkiem sprawnie. Warunki pracy wywiadowczej miałby idealne dzięki rozlicznym kontaktom, a także dlatego, iż nie tylko podjął dyskretny handel dziełami sztuki i kamieniami szlachetnymi – o których posiadał stosowną wiedzę dzięki Wiesiołowskiemu – lecz także równie dyskretnie pożyczal arystokratom pieniądze, uzależniając ich w ten sposób od siebie. W sumie nieistotne jest, czy artefakty wygrywał, czy też okazjynie nabywał. Grunt, że coraz bardziej wysmakowana jego kolekcja rosła i cieszyła się sławą. Raz zaimponował wszystkim w Wersalu, kiedy zjawił się w aksamitnym stroju zapinanym na guzy, istne arcydzieła sztuki jubilerskiej. Były na nich okolone brylancikami miniaturowe wyobrażenia mitologicznych bogów, wykonane techniką emalierską, na każdym guzie inne (kilka lat później ofiaruje je Stanisławowi Augustowi). W tym też czasie musiał trafić w jego ręce pewien nadzwyczajny przedmiot, dzięki któremu Walicki zaistniał w wielkoświatowej literaturze.

Parę lat po opisywanych tu zdarzeniach znana francuska pisarka, pani de Genlis, wydała powiastkę orientalną, której tytuł przetłumaczony na polski brzmiał *Cudowny szafir czyli Talizman szczęścia. Powiastka wschodnia*. Jest to historia nadzwyczajnego klejnotu, którego niezwykłość wpływa na losy bohaterów. Najciekawszy wszakże dla nas będzie przypis autorki treści następującej: „Pewien Polak, hrabia Walicki, posiada wspaniałą kolekcję kamieni szlachetnych, w której znajduje się piękny szafir, mający szczególną właściwość: w świetle traci niebieską barwę i staje się fioletowym ametystem, najczystszy i najbardziej lśniący. Zjawisko to podsunęło pomysł opowieści, którą będziecie czytać”.



Stéphanie Félicité du Crest de Saint-Aubin, hrabina de Genlis, osnuła swoją dydaktyczno-moralną opowieść wokół tajemniczego klejnotu, który nazwała szafirem, bo nie mogła wtedy jeszcze znać dzisiejszej jego nazwy. Tymczasem z opisu sądząc, magiczny ów kamień zachowuje się wcale nie jak szafir, tylko jak aleksandryt. Właśnie ten ostatni minerał, będący rzadką odmianą chryzoberylu, charakteryzuje się tym, że zmienia kolor zależnie od oświetlenia. W świetle dziennym jest zielony lub niebieski, w sztucznym – czerwono-fioletowy. Powieść wydano w 1806 roku, natomiast pierwsze pokłady aleksandrytu, nazwanego potem tak na cześć cara Aleksandra II, odkryto na Uralu najwcześniej w roku 1832. Wygląda więc na to, że na długo przed znalezieniem rosyjskich złóż i nadaniem im caropoddańczej nazwy okaz tego minerału – niewiadomego pochodzenia, być może z Indii lub z Cejlonu – znalazł się w posiadaniu polskiego szulera. W pełnych zachwytów relacjach osób z towarzystwa nazywany jest szafirem – wszak nazwa aleksandryt jeszcze nie powstała. Zdobył wielką sławę wśród eleganckiej socjety, co jest zrozumiałe przy tak oryginalnych właściwościach, dodatkowo później rozreklamowany modną opowiastką. Kamień zapewnił też swojemu właścicielowi wzmiankę w *Encyklopedii staropolskiej* Zygmunta Glogera, w haśle „Klejnot”: „Sławne klejnoty posiadał również Michał Walicki, głośny w swoim czasie karciarz, ale zarazem filantrop i zbieracz dzieł sztuki [...] Kolekcja jego złotych emaljowanych tabakierek, niezmierna ilość drogich szalów, koronek, a zwłaszcza drogocennych kamieni, głośną była w całej Europie. Miał on słynący w całym świecie szafir, zmieniający swój kolor przy zachodzie słońca, o którym pani de Genlis piękną napisała powiastkę”.

Nie wiadomo, jak kamień zawędrował do zbiorów Walickiego, czy został wygrany, czy też nabyty. Natomiast udało się wytropić początek dalszych jego losów. Parę lat później w Warszawie Walicki podobno ofiarował go Karolinie z Sapiehów, żonie jednego

ze swych możliwych protektorów, Stanisława Sołtyka. Wspomina o tym w pamiętnikach Leon Dembiński, oczywiście zaznaczając – jak wszyscy, którzy o kamieniu pisali – że „posłużył za przedmiot do ładnej powieści pani de Genlis pod tytułem *Le saphir merveilleux*”. Następnie, nie wiadomo kiedy dokładnie i w jaki sposób, kamień stał się własnością księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, który tak o nim napisał do syna: „szafir na słońcu w różne strony obracany przybiera raz błękitną, drugi raz czerwoną farbę; co było powodem dla Pani de Genlis, która go widziała, do napisania romansu *Le saphir merveilleux*”. Gdy książę wpadł w kłopoty finansowe, aby im zaradzić, postanowił sprzedać dwie ozdoby kolekcji Czartoryskich: obraz Rafaela *Portret młodzieńca* i właśnie ów szafir. Wczesną wiosną 1850 roku klejnot został przesłany do Londynu i choć podobał się jubilerom, oferowane przez nich ceny księcia nie usatysfakcjonowały. Może po odkryciu uralskich złóż w latach trzydziestych nie budził już takiej jak kiedyś sensacji? W sumie obie transakcje nie doszły do skutku. Po kilku miesiącach kamień wrócił do Paryża i najprawdopodobniej został sprzedany rodzinie Orléans. Tu trop się kończy.

Francuska pisarka, która zrobiła mu tak świetną reklamę, najwyraźniej była pod wrażeniem także reszty kolekcji pana hrabiego, bo nie tylko szafir-aleksandryt wystąpił w jej utworze. Oprócz budujących modny wówczas orientalny nastrój różowych pereł, fajki z masy perłowej, kości słoniowej i agatu oraz drugiej, wysadzonej rubinami, diamentami i szmaragdami, pojawiają się tam dwa niezwykle klejnoty ofiarowane kalifowi przez Abukara, jednego z bohaterów: opal z dendrytem i wielki onyks z rysunkiem palmy. Te autorka opatrzyła przypisem: „oba kamienie znajdują się w zbiorach hrabiego Walickiego”.

Pani de Genlis wcale nie skłamała, pisząc „hrabia”. Obrotny Polak zdążył bowiem kupić tytuł, najprawdopodobniej w którymś z włoskich państw (krążyły plotki, podbudowane rosnącą szulerską sławą, że wygrał go w karty i to od samej Marii Antoniny). Polski król zaś później mu tę godność zatwierdził.

Podczas pobytu we Włoszech miał okazję wsławić się czymś jeszcze i przy sposobności odwdzińczyć się swemu protektorowi Stanisławowi Sołtykowi, gdy ten, zwabiony przez powabną i nieskąpą, jeśli chodzi o wdzięki, neapolitankę, został doszczętnie ograny przez szajkę szulerów. Walicki zwąchał pismo nosem i zjawił się w samą porę, by zdążyć jeszcze dołączyć do gry. Oszuści wielce się ucieszyli, widząc kolejną ofiarę, a tymczasem on najpierw odegrał straty przyjaciela, następnie oskubał do cna tamtych i wreszcie ogołocił piękną damę z biżuterii i innych kosztownych drobiazgów. Po tym wszystkim, zostawszy sam z Sołtykiem i gospodynią, zwrócił się do niej:

– Moja pani, te wszystkie klejnoty były waćpani własnością. Chcesz, bym je tobie zwrócił? Tak też i uczynię, ale pod jednym warunkiem. Oto jak najszczerzej opowiesz przed panem hrabią cały wasz plan, naprzeciwko niego osnuty, którego ja wam nie dałem dokonać.

Urodziwa Włoszka, aby odzyskać własność, nie omieszkła wyznać ze skrucą swych przewinień, a wtedy Walicki kazał podać butelkę szampańskiego wina, którą we troje wypili, i oddał jej cenne świedelka, tak jak obiecał. Nazajutrz zjawił się u niej ponownie, tym razem bez Sołtyka, i po czułym (wedle Rzewuskiego) pożegnaniu jeszcze ją szczerze na koniec obdarował. Zaraz potem z wdzięcznym za uratowanie fortuny protektorem śpiesznie opuścił Neapol i udał się do Paryża.



Michał Walicki do polityki się nie mieszał, a że był człowiekiem roztroptym, wyjechał z Paryża do Londynu już w maju 1783 roku, na długo przedtem, zanim rozszalała się rewolucja i niektórzy arystokratyczni kompani od karcianego stolika powędrowali na szafot, między nimi diuk Orleanu, dawny wspólnik w łupieniu naiwnych. W Anglii podobno Polak używał nazwiska Mickiewicz – pytanie: czy ze względu na hazard, czy na współpracę ze służbami? A poza tym grał jak zawsze po mistrzowsku

i dalej z powodzeniem handlował złotem, kamieniami szlachetnymi i dziełami sztuki, pomnażając zdobyty kartami i bilardem majątek. O jego bogactwie i o nim samym krążyły już legendy. W Londynie zaprzyjaźnił się z Janem Śniadeckim, Julianem Ursynem Niemcewiczem i Tomaszem Kajetanem Węgierskim. Ten ostatni też żył z kart i to nieźle – w duchu epoki.

W 1787 roku hrabia wrócił do Polski. Od razu gładko wszedł w towarzyskie kręgi arystokracji, był ceniony za klasę, dowcip i ogładę. Henryk Rzewuski napisał, że Walicki „nie miał w sobie nic takiego, co by z jakiegoś względu zdradzało szulera z profesyi. On jeden i tonem, i obyczajami, między nimi był zawsze panem. [...] Był to człowiek niewypowiedzianej grzeczności i niesłychanego taktu”. Ten ulubieniec fortuny, dawniej mający swobodny wstęp do Wersalu, a teraz do warszawskiego Zamku, nabył pałac przy ulicy Długiej pod numerem 542 i urządził w nim wystawne przyjęcia. Zaufany domu Sołtyków, pozostawał w zażyłej przyjaźni ze Stanisławem Augustem, który – jak podaje *Encyklopedia Orgelbranda* – zatwierdził mu hrabiowski tytuł (zapewne nie bez znaczenia był iście królewski podarek dla monarchy w postaci owych podziwianych wcześniej w Wersalu mitologicznych guzów, no bo jak inaczej wiecznie zadłużony król mógł się odwdziżyć?). Latem 1789 roku hrabia Michał otrzymał z rąk Stanisława Augusta Order św. Stanisława, a rok później najwyższe odznaczenie – Order Orła Białego. Został też podstolim koronnym, który to urząd kupił od Stanisława Sołtyka – według Rzewuskiego za 200 tysięcy złotych odstępnego. To by nawet tłumaczyło, dlaczego słynny „szafir”, chluba kolekcji, dostał się właśnie *madame* Sołtykowej.

W 1793 roku Walicki wybrał się do Paryża, gdzie dokonał kolejnych korzystnych zakupów, jako że w wyniku rewolucji ceny dzieł sztuki i luksusowych przedmiotów, delikatnie mówiąc, mocno spadły. Rozgrabione i rozkradzione z pałaców przez motłoch, można było kupić za bezcen. Walicki między innymi nabył biurko Marii Antoniny wystawione na sprzedaż w paryskich Haulach. Rozpoznał je od razu, jako że nieraz je przedtem widywał.



*Królowa MARIA ANTONINA lubiła siadać do faraona,
gdy hrabia Walicki ciągnął bank*
(Wikimedia Commons)

Podróżował po pańsku, *en grand seigneur*. Gdy w 1799 roku udawał się do Karlsbadu dla podreperowania zdrowia, towarzyszyła mu świta w postaci pół tuzina służby. Kiedy nastały czasy pruskie, całym taborem ze sprzętami i służbą pojechał do Berlina, gdzie oczarował Fryderyka Wilhelma i wydawał bale z przepychem godnym wschodniej baśni. Król, zachwycony pięknem przedmiotów w posiadaniu hrabiego-szulera, przymówił się o wypożyczenie porcelanowej zastawy na osiemdziesiąt osób, żeby ją skopiować. Oczywiście pan hrabia prośbę chętnie spełnił. Tak wystawnych balów i przyjęć tutejszy dwór jeszcze nie widział. Walicki zrobił prawdziwą furorę wśród miejscowej socjety, która szczerze żałowała, kiedy znudził się prowincjonalnością Berlina i wrócił do Warszawy. I równie szczerze za nim tęskniła.

Jak podaje Tadeusz Bułharyn, między rokiem 1801 a 1804 Walicki mieszkał w Petersburgu, dokąd przybył po wstąpieniu na tron Aleksandra. Pobyt w Warszawie zakończył iście po wielkopańsku. Specjalnie na pożegnalny bal w stolicy kazał – tuż przed swoim wyjazdem – przebudować słynny dom przy Długiej. Zaraz potem w stolicy Rosji kupił sobie następny dom i wytwornie go umeblował. Nadal nabywał piękne przedmioty użytkowe i dzieła sztuki. Miał handlowo-robocze kontakty z najlepszymi rosyjskimi jubilerami. Bułharyn wspomina budzącą zawiść w Petersburgu kolekcję złotych emaliowanych tabakierek, podobno należących ongiś do króla francuskiego, a wykonanych przez słynnego Jeana Petitot. Legendą owiane było kilka serwisów stołowych, w tym jeden złoty, inkrustowany drogimi kamieniami, do którego przynależały specjalne noże i widelce z rączkami z koralu. Oraz kolekcja drogocennych koronek i szalów. O „szafirze”, choć już wtedy należał do pani Sołtykowej, Bułharyn też wspomina – kamień na wszystkich robił piorunujące wrażenie, przewija się w niejednym pamiętniku z epoki. Autor pisze również, że hrabia słynął z gościnności i „wszyscy starali się o jego przyjaźń albo łaskę, bo obiady jego były sławne w całej Europie, hojność zadziwiająca, obejście najprzyjemniejsze, gust we wszystkim wytworny, czarująca wymowa i pełen [był] życia”.

Znał osobiście największych „celebrytów” Europy, potrafił zajmując o nich opowiadać, panie zabawiał historyjkami o Marii Antoninie i przedrewolucyjnych czasach na wersalskim dworze. Był autorytetem, jeśli chodzi o smak, urządzenie domu, organizowanie balów i wybór podarunków. Trzeba przyznać, że daleko zaszedł od chwili, gdy krajczy litewski Buczyński wyekspediował go w świat swoją bryczką.

Bułharyn sugeruje, iż majątek Walickiego wziął się bardziej z handlu antykami niż z hazardu. Twierdzi, że pan hrabia krył się ze swoimi transakcjami i wśród socjety wolał przedstawiać wersję „kartową”, gdyż w tej epoce „chętniej przyjmowano w towarzystwie szulera i utalentowanego awanturnika niż kupca”. W związku z tym „zezwała, aby rozumiano, iż majątek nabył grą, dlatego jedynie, aby nie był poczytywany za kupca”. Trudno orzec, czy to prawda. Przy takim pułapie dochodów i tak rozległej sławie jego własnych pięknych przedmiotów, a zwłaszcza magicznego „szafiru”, towarzystwo zapewne wybaczyłoby mu „kupcowanie”. Szczególnie damy, ale panowie też.

Walicki nadal grał, zawsze był przy tym bardzo grzeczny i nigdy z nikim się nie kłócił. Wciąż unikał polityki, nie mieszał się do rzeczy, które nie dotyczyły go bezpośrednio. Żył pod różnymi rządami i zawsze był dobrze przez wszystkie władze postrzegany.

– Powiedzże mi, mój podstoli – zagadnął go kiedyś łaskawie król Stanisław August. – Dlaczego, mając tytuł, urząd i tylu przyjaciół, nie zostaniesz posłem?

– Właśnie dlatego, najjaśniejszy panie, że mam wielu przyjaciół – odparł zapytany. – Żadnego nie chcę utracić, toteż unikam sejmików. Nie czuję w sobie zdolności do polityki, poza tym, będąc w jednej partii, zawsze naraziłbym się partii przeciwnej, a ja pragnę z całym światem żyć w zgodzie.



Z Petersburga przeniósł się na Grodzieńszczyznę, gdzie kupił dobra Jezioro. Wkrótce oprócz gospodarstwa rolnego działały

tam dwie założone przez niego fabryki: sukiennicza, powstała w 1807 roku, i papiernicza z roku 1809. W Jeziorach trzymał obszerną bibliotekę oraz swoje cenne zbiory. Miał też dom w Wilnie.

Wątek karciano-awanturniczy z biografii tego niezwykłego człowieka, do spółki z mineralogicznym, mógłby posłużyć za kanwę do filmu przebijającego fabułę kinowego przeboju z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku o markizie Angelice. Natomiast schyłek jego życia budzi przede wszystkim szacunek i podziw. Łatwo przyszło, więc teoretycznie powinno łatwo pójść – na zbytki, luksusy, bale, przyjęcia i piękne kobiety. Wprawdzie to wszystko w jego życiu miało miejsce, ale słynny na całą Europę gracz, kolekcjoner i stroniący od polityki bogacz okazał się też wielkim filantropem i patriotą.

Już w 1801 roku jako znawca i koneser dzieł sztuki i antyków został członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, w dodatku wybranym w tajnym głosowaniu. Sam korzystający w latach biedy ze wsparcia Buczyńskiego, w 1806 roku ufundował w Wilnie stypendium dla ośmiu zdolnych a ubogich chłopców noszących nazwisko Walicki (co zdaje się potwierdzać, wbrew różnym plotkom, że było to jego prawdziwe nazwisko). Między innymi jednym z beneficjentów tego funduszu został uczeń wileńskiego gimnazjum Alfons Walicki (1809–1858), późniejszy profesor literatury greckiej i starożytności w Charkowie, znany filolog i tłumacz.

Około roku 1805 pan hrabia ofiarował Uniwersytetowi Wileńskiemu swój cenny zbiór „konch i minerałów”, nazwany Zbiorem Walickiego, który potem – jak eufemistycznie pisze agent carski Tadeusz Bułharyn – „dostał się” Uniwersytetowi św. Włodzimierza w Kijowie. Hojnie łożył na Uniwersytet w Wilnie i Liceum Krzemienieckie, uczelnie, w których wykształcili się Mickiewicz i Słowacki. Jego portret zawisł pośród wizerunków najbardziej zasłużonych protektorów i fundatorów Wileńskiego Uniwersytetu – zapisy i darowizny poczynił na niebotyczną sumę 2 milionów złotych. Pomagał ubogim studentom, uczniom, poetom



*Profesor ALFONS WALICKI, beneficjent funduszu pana hrabiego
(zbiory autorki)*

i malarzom, finansował badania uczonych. Był szczodrym mecenasem, dla potrzebujących jego dom zawsze pozostawał otwarty, nawet gdy już ze względu na stan zdrowia nie przyjmował gości. Pod koniec żył, niezmiennie na wielkopańskiej stopie, z wyprzedaży swoich zbiorów. Tabakierki, brylanty, pierścienie, obrazy, koronki stopniowo „przenosiły się do Żydów”. A mimo to,

jak pisze Bułharyn, „jego spadkobiercom, z tych nawet obłamków, dostał się jeszcze porządny kawał chleba”.

Faworyt fortuny, na której spotkanie ruszył darowaną bryczką, nie przetrwonął zdobytego majątku, lecz pozyskane grą kartową środki w znacznej części obrócił na pożyteczne cele. Zmarł w Wilnie w roku 1828 bezdzietnie jako stary kawaler. Jeziory odziedziczył jego bratanek, Leopold Walicki, który wsławił się tym, że w 1847 roku we wzorowo prowadzonych, a założonych przez stryja oborach jako pierwszy na świecie wyhodował żubronie – krzyżówkę żubra z krową. W rękach Walickich majątek pozostał stosunkowo niedługo, bo do powstania styczniowego, potem go skonfiskowano. Nie wiadomo, jakie były dalsze dzieje słynnego „szafiru”. Marian Dubiecki domniemywa, że podzielił los uniwersyteckiej już w tym czasie kolekcji szlachetnych minerałów oraz biurka Marii Antoniny, które „powędrowało na Niż dniewowy”. Bardziej wiarygodna wydaje się jednak potwierdzona archiwalną korespondencją wersja, że trafił do księcia Adama Czartoryskiego, a potem do rodziny Orléans.

Zabawne jest natomiast, że legenda *le saphir merveilleux* należącego do *monsieur le comte Walicki* przeżyła do tej pory i ma się całkiem dobrze. Już w epoce Internetu została wykorzystana w anglojęzycznych tekstach reklamujących zaręczynowe pierścionki z szafirem. Z tym że współcześni marketingowcy albo bezkrytycznie potraktowali przytaczane cytaty z orientalnej opowieści pani de Genlis, albo woleli przemilczeć fakt, iż *le saphir merveilleux*, lansowany jako hasło reklamowe szafirowej biżuterii, to tak naprawdę *l'alexandrite ordinaire*. Tak czy owak był to słynny kamień osiemnastowiecznej Europy, własność polskiego szulera wszech czasów.

U OBYWATELA U., CZYLI W KRAINIE ZAJAZDÓW

*Okolo roku 1817 obywatel U... w województwie
nowogródzkim pobił na zajezdzie cały garnizon
nowogrodzki i dowódców zabrał w niewolę.*

Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*



W dawnej Rzeczypospolitej ustalanie granic spornej nieruchomości leżało w gestii sądu podkomorskiego, czyli granicznego. O urzędzie podkomorzego tak pisze Zygmunt Gloger: „W Koronie podkomorzy ziemski był w ziemi swojej pierwszym, a w Litwie trzecim co do starszeństwa urzędnikiem”. Dlatego w Soplicowie Podkomorzy przyjmowany jest z honorami: zajmuje najwyższe miejsce za stołem, wręcza nagrodę za ustrzelenie niedźwiedzia i prowadzi poloneza.

Jak już zapadł wyrok, zwany w staropolskim sądownictwie dekretem, strona przegrana często nie zamierzała ustępować, a skoro postanowienie sądu trudno było wyegzekwować, wygrany załatwiał sprawę we własnym zakresie, urządzając zajazd, czyli siłą zajmował sporny teren. Natomiast samowolne odebranie komuś ziemi bez wyroku sądu nazywało się najazdem. O ile

zajazd w asyście urzędnika sądowego był właściwie legalny i tolerowany, najazd był nielegalny i jako sprawa kryminalna podlegał jurysdykcji już nie sądu podkomorskiego, ale grodzkiego. Zajazd w *Panu Tadeuszu* właściwie nosi cechy najazdu, bo wyrok w sprawie zamku dopiero ma zapaść – właśnie w tym celu zjechał do Soplicowa Podkomorzy. Cięty na ród Sopliców Gerwazy, argumentując, że kto wygra w polu, ten wygra i w sądzie, namawia zatem swego pana Hrabiego do przestępstwa:

Mówilem Panu zawsze: procesów zaniechać,
Mówilem Panu zawsze: najechać, zajechać.

Wszystkie chwytty są dozwolone, byle odzyskać własność należną Horeszkom. A poza tym przecież kwestia własności zamku jest oczywista. To jawne bezprawie, że znalazł się w rękach Sędziego! Należy tę niesprawiedliwość dziejową co prędzej naprawić, nie oglądając się na jakieś tam sądy. I jeszcze odebrać odszkodowanie za straty moralne.

Po co proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta:
Zamek w rękę Horeszków był przez lat czterysta;
Część gruntów oderwano w czasie Targowicy
I, jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.
Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
Za koszta procesowe, za karę grabieży.

Jak wiadomo z dalszego rozwoju akcji, Hrabia dał się skuścić, do zajazdu doszło i Soplicowo zostało zajęte przy wsparciu dobrzyńskiej szlachty. Przyjrzyjmy się temu od strony formalnej. Żeby intromisja, czyli osadzenie nowego właściciela, była z punktu widzenia prawa ważna, powinna być ogłoszona przez woźnego sądowego. Do dopełnienia tego aktu, mimo że nie ma wyroku sądu, Gerwazy usiłuje zmusić poczwiwego Protazego, emerytowanego woźnego, dożywającego u Sędziego dni swoich na łaskawym chlebie.

Chce Hrabiego osadzić na nowym dziedzictwie
 Legalnie i formalnie; więc za Woźnym biega,
 Aż go po długich śledztwach za piecem dostrzega,
 Wnet porywa za kołnierz, na dziedziniec wlecze
 I zmierzwszy mu w piersi Scyzoryk, tak rzecze:
 „Panie Woźny, pan Hrabia śmie Waćpana prosić,
 Abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić
 Intromisyją Hrabi do zamku, do dworu
 Sopliców, do wsi, gruntów zasianych, ugoru,
 Słowem cum gais, boris et graniciebus,
 Kmetonibus, scultetis et omnibus rebus
 Et quibusdam aliis. Jak tam wiesz, tak szczekaj,
 Nic nie opuszczaj!

Przy okazji Mickiewicz pokpiwa tu z zamiłowania szlachty do nadużywania łaciny, ale przede wszystkim, mimo całego humorystycznego charakteru tej sceny, daje poglądowy obraz, jak takie obwieszczenie własności podczas zajazdu wyglądało, gdy wyrok zapadł. Protazy, lojalny wobec Sędziego, nie chce dopuścić do przypieczętowania krzywdy dziejącej się jego panu, tym bardziej że to jawne bezprawie. Ma przecież ogłosić dekret nie sądu, tylko Gerwazego. Usiłuje się jakoś z tego ambarasu wykić, co nie jest proste, bo Gerwazy mocno za kołnierz trzyma i w dodatku ma zwyczaj szybko sięgać po swój sławetny oręż. Dialog prowadzony z Klucznikiem po przełożeniu na prozę mógłby wyglądać następująco:

– Gerwazeńku, chętnie, nie ma sprawy. Ale czy pomyślałeś o tym, że taki akt przecież nie będzie miał mocy? Wymuszony gwałtem, w dodatku w nocy, po ciemku.

– Jaki gwałt? – krzyczy Gerwazy. – Nie ma mowy o żadnym gwałcie! Do niczego nie zmuszam, tylko grzecznie waści proszę. A jak ciemno, to ja zaraz tutaj Scyzorykiem ognia skrzeszę i zrobi się waszmości w oczach jasno jak w kościele w wielkie święto.

– Mój Gerwazeńku, coś taki nerwowy. Niech stanie na twoim. W końcu to nie moja sprawa. Woźny ogłasza, co mu się każe.



GERWAZY grzecznie prosi Protazego o ogłoszenie intromisji Hrabiego do Soplicowa. Scena z filmu Pan Tadeusz w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego
(FilMOTEKA Narodowa)

Tylko puść mnie, bo woźny to poseł, a poseł jest nietykalny.
I o ciszę proszę, bo muszę się skupić.

Uśpiwszy czujność Klucznika, niby żeby go szlachta lepiej słyszała i niby z trudem, woźny wdrapał się na wielki stos belek leżących pod płótem okalającym sad i... buchnął stamtąd susem w kapustę, po czym przemknął przez konopie, migając konfederatką, i tyle go widzieli. Urzędowo więc intromisja Hrabiego nie została ogłoszona, ale w oczach napastników wiele to nie zmieniło. „Ustał już wszelki opór w soplicowskim dworze”, a zatem zajazd się dokonał.



Podczas lektury dokumentów sądowych z epoki Mickiewicza dotyczących niewielkiego obszaru Nowogródzyny trudno się oprzeć wrażeniu, że procesy, wzajemne zajeżdżanie i najeżdżanie się stanowiły coś w rodzaju urozmaicenia spokojnego życia na wsi. Pod koniec XVIII wieku wszyscy dokoła się procesują,

ciągle dochodzi do naruszenia granic czyjejś własności, do „expulsyi i gwałtów”.

Wieszcz miał okazję zetknąć się z takimi sprawami dzięki działalności zawodowej swojego ojca – prawnika. W rodzinie Mickiewiczów też wydarzył się taki przypadek, gdy stryjeczni dziadkowie poety zajazdem odebrali zasądzone im sądownie Zaosie. Wcześniejszymi właścicielami wioski byli bracia Janowiczowie, którzy zadłużyli się u braci Mickiewiczów i nie oddali im pieniędzy. Rozpoczął się długotrwały proces i najprawdopodobniej doszło do eksdywizji (czyli sądowego nakazu oddania majątku lub jego części za długi). Janowiczowie ustąpić nie chcieli i skończyło się zajazdem. Pierwszy atak odparli, co nie zraziło braci Mickiewiczów, którzy w 1784 roku zajęchali Zaosie ponownie, tym razem skutecznie. Mimo to obie rodziny procesowały się jeszcze aż do roku 1804, czyli w sumie trwało to czterdzieści lat. Przedmiot sporu stanowiły trzy włóki litewskie, co odpowiada około sześćdziesięciu czterem hektarom.

Podobne historie przeżywał dwór Czombrów, należący do chrzestnej matki poety, Anieli Uzłowskiej. Zachowały się dokumenty sądowe będące wiarygodnym świadectwem zaszłych tam wydarzeń, o których przyszły autor *Pana Tadeusza* musiał w dzieciństwie słyszeć, wszak jego dziadek był tu ekonomem, a matka panną apteczkową.

Dziedzic Józef Uzłowski wdał się w kilka granicznych procesów. Jeden z nich, z podkomorzym Krzysztofem Niezabytowskim z Miratycz, szczególnie obfitował w zaczepne wypady na teren sąsiada i rękoczyn, po których obie strony składały skargi do sądu grodzkiego w Nowogródku. Wypis z ksiąg grodzkich ujawnia przebieg kilkuletniej aktywności krewkich szlachciców. Dziś nie da się dociec, po czyjej stronie była racja, ale ciekawie jest prześledzić przebieg tej granicznej wojenki, po staropolsku zajadłej. W 1796 roku (Mickiewicz urodzi się za dwa lata) odbył się pierwszy proces – „za dwoma aktoratami y żałobami do nich należącemi w Jedno złączonemi y skombinowanemi”. Oznacza to, że za jednym zamachem rozpatrzono oba

pozwy wojujących ze sobą dziedziców, poparte żałobami, czyli skargami. W pierwszym akcie powodem był Uzłowski, a pozwanym Niezabytowski, a w drugim na odwrót. Głównym, acz nie jedynym, przedmiotem sporu były trzy graniczne uroczyska: Suszczówka, Działilewszczyzna i Janusowszczyzna.



Tamtego ranka pan Józef dojechał właśnie specjalnie zaordynowaną u kucharza swoją ulubioną piwną polewkę, ocierając co chwila wąsy, kiedy do obszernej świetlicy wszedł śpiesznie, prawie wbiegł, imć Mateusz Majewski, czombrowski ekonom, jak co dzień od świtu będący na nogach.

– Panie, przybiegł właśnie z Miratycz nasz Jaśko Hajduk. Pan podkomorzyc...

– Cóż ten znowu wyprawia? – Dziedzic ze złości aż cisnął łyżką o stół. Wieczyste utrapienie z tym sąsiadem, ciągle szuka zwady. Pan Niezabytowski uparł się jak baran, że mu się kawał ziemi czombrowskiej należy. Jakby mało było kłopotu z Puszczykami roszczącymi sobie prawem kaduka pretensje do czombrowskiej Żelatowszczyzny. I z zubkowską szlachtą, uparcie po kryjomu tnącą czombrowski las i wywożącą drewno na sprzedaż.

– Ano miratycy włościanie znowu nam w szkodę wleźli. Łąkę nad Niowdą, tę wedle olszyny, koszą i siano do siebie zabierają.

– Skaranie boskie i tyle. Pewnie ich specjalnie podburzył. A bodaj go... Jedźże, mości Majewski, do Miratycz z listem ode mnie. Zaraz napiszę. Po dobroci najpierw spróbuję, a jak znów nie pomoże, czego się po tym chłystku spodziewam, to do sądu pójdziemy. W drodze powrotnej zajedź do pana Siemiradzkiego do Jaroszy i uwiadom go o wszystkim. Lepiej, żeby wiedział wcześniej, bo może o pomoc go prosić będziemy.

Jak się tego dziedzic spodziewał, misja ekonomy nic nie dała. Krzysztof Niezabytowski nie miał najmniejszego zamiaru ingerować w działania swoich poddanych. Tylko posła wyśmiał:

– I co mi pan Uzłowski zrobi? U siebie jestem. A łąki po Janie Tuhanowskim do Miratycz należą.

Zaufany sługa powrócił z niczym. Mało tego, gorsze jeszcze przywiózł wieści.

– Pan podkomorzyc oświadczył, że to łąka miratyccka, bo tak wedle świętej pamięci braci Tuhanowskich działu wypada. I że mu pan może... Daruj, panie, nie powtórzę, bo wstyd i obraza boska, co powiedział. Na tym jeszcze nie koniec...

– A cóż tam znowu? Mówże, waść, bo mnie krew zaleje i jak ja tego lotra...

– Ano widziałem na własne oczy, że miedza wedle Suszczówki *violenti expulsiivo modo* została zaorana... I do dalszej orki się szykują. Na wsi mówili, że pod len pójdzie, podobno tak jeden z miratycckich głośno się chwalił.

Dwa wieki wcześniej dawni właściciele Czombrowa, bracia Jan i Andrzej Tuhanowscy, podzielili majątek po matce między siebie. Ta część, gdzie stał dwór, przypadła Andrzejowi, a Janowi dostał się należący do majątku folwark Miratycze, który przeszedł potem na Niezabytowskich. Po dwustu latach któryś z dziedziców dopatrzył się niejasności w zapisie, zaczął sobie rościć prawa do ziemi leżącej od lat odłogiem i zaczęły się utarczki. Trochę jak w *Panu Tadeuszu*:

Dość, że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu

Przyszła nagle chętka, nie wiadomo czemu.

Tam chodziło o zamek, ale tu tylko z pozoru o kwestię mniej ważną. Zagospodarowane uroczyska dawały nie tylko ziemię uprawną, lecz i sianozęcia. Te ostatnie bardzo ważne były dla gospodarki dworu, bo dostarczały paszę dla zwierząt, w tym dla koni stanowiących główny środek lokomocji. Wtedy zabrać sąsiadowi siano to trochę tak jak dziś pozbawić kierowcę benzyny.

Zdaniem Uzłowskich uroczysko Suszczówka wedle tamtego działu powinno należeć teraz po Andrzeju do Czombrowa. Niezabytowski uważał inaczej. Uparcie twierdził, że co do tego

skrawka ziemi zapis jest niejasny i sąd powinien tę kwestię rozstrzygnąć. Ponieważ sądowi jak zawsze się nie śpieszyło, a Niezabytowski cierpliwości nie miał, postanowił zająć siłą, co jego. Pan Józef pomyślał chwilę.

– Mości Majewski, weź no, kochanku, Ściepana i Ihnata, skrzyknijcie tam jeszcze paru. Przepędźcie ich z Suszczówki na cztery wiatry.

– Myślałem już o tym, ale Jaśko mówi, że ich tam siła i bardzo pilnują, jakby tylko na nas czekali. Nie damy rady. Siedemnastu chłopów zeszłego miesiąca nam uciekło, pan sam do rejestru ich nazwiska podał. W dodatku na Żelatowszczyznę cały czas trzeba baczyć, bo ludzie Puszkiców tylko czekają, żeby nam łoży nad rzeką pościnać. Za mało ludzi mamy, Suszczówki nie odbierzemy. W dodatku jakem wracając zajechał do Jaroszyca, powiedzieli, że pan Siemiradzki z żoną do Pińska na wesele się udał, więc trudno o pomoc prosić. Zubkowska szlachta o las nieznanowski ma do nas pretensje, to nie pomogą. Nie ma na kogo liczyć.

– Ślijże więc, mości Majewski, do Nowogródka po rejenta Pawłowskiego. Niech pozew gotuje. Na gwałt i ekspulsję się poskarżymy. Niech koniecznie napisze, że podkomorzyc na samowolę swoich ludzi przyzwala, poddaństwo rozbisurmania. I odszkodowania godnego ma imć rejent zażądać.

– Zanim się pozew sporządzi, w sądzie złoży, a sąd się zejdzie, dużo czasu upłynie. Już Suszczówka nie tylko zaorana, ale i usiana będzie. Ja bym panu co innego radził.

– Mówże, waszeć, co robić.

– Pojadę ze Ściepanem i Ihnatem, Jaśka jeszcze weźmiemy i ze dwóch z Radohoszczy. Powinno starczyć. Janusowszczyznę zajmiemy. Nie będą się w Miratyczach spodziewać, nikt tam nie pilnuje. Raz-dwa się zaorze, usieje. Podkomorzyc nam Suszczówkę zabrał, to my mu taką fimfę wytniemy. I tak pewnie nam to uroczysko sądownie przypadnie, kiedy już się do końca ustali, jak to z działem Tuhanowskich być powinno. Nim sąd się zbierze, my zbierzemy z pola. – Jak większość tutejszej szlachty



ZAJMOWAĆ SPORNY TEREN wyruszano gromadą, szlachta z czeladzią.

Scena z filmu *Pan Tadeusz*

(FilMOTEKA Narodowa)

ekonom miał znacznie większe przekonanie do sprawiedliwości wymierzanej na własną rękę.

Po zagarnięciu Janusowszczyzny wynik obu dworów w najechanych uroczyskach był remisowy. Niezabytowski, znany w powiecie piniacz, dowiedziawszy się o zaanektowaniu kawałka ziemi, który uważał za swoją własność, bardzo fulminował i co prędzej wysłał kolejny oddział, który w odwecie zajął trzecie graniczne sporne uroczysko – Działilewsczyznę. Gdzie się da, polecił usunąć znaki graniczne, drzewa ze znakami wyciąć, poniwelować kopce, część gruntu natychmiast zaorać, a część zostawić na sianożęć. Na wieść o ruchu sąsiada Uzłowski, zdolawszy „pożyczyć” pod nieobecność pana Siemiradzkiego kilku jego ludzi, oddelegował karną ekspedycję pod wodzą Majewskiego, który nie tak dawno zubkowskim hreczkosiejom za podobny afront dał tęgiego łupnia i dobrą nauczkę, tak że się na jakiś czas uspokoili. Ale mimo szczerych chęci i zdolności przywódczych ekonomy, tym razem plan się nie powiódł. Miratycze zbyt dobrze się na atak przygotowały, zabrakło elementu zaskoczenia.

Oliwy do ognia dołało jeszcze to, że poddany podkomorzycy, Łauruk Bujda, za poduszczeniem swego pana, natychmiast po zajęciu skosił dziahilewską łąkę i siano wziął do siebie. Zaś inni miratyccy włościanie, bracia Ściepan i Omelian Toukaczowie, niby to na własną rękę, w tym samym czasie, kiedy Majewski usiłował odbić Dzhahilewuszczynę, dobrali się do podedwornego czombrowskiego poletka i cichcem zzęli na pniu piętnaście kop żyta. Pan Józef wpadł w furję.

– Tego już za wiele – krzyczał po powrocie ekonoma do dworu. – Jedźże co prędzej, acan, do tego diabła wcielonego i powiedz, że jeśli samowoli włości swojej nie ukróci, pójdziemy na niego do sądu.

Niezabytowski nie miał najmniejszego zamiaru ustępować i dziedzic Czombrowa znów żadnej satysfakcji nie odebrał. Co gorsza, przez to pobłażanie swego pana, będące tak naprawdę cichą zachętą, poddani miratyccy odtąd niemal co dzień podejmowali wyprawy łupieżcze na czombrowskie pola. Uzlowski coraz bardziej tracił cierpliwość. Humor na krótko mu się poprawił, gdy przyjąwszy podobną do przeciwnika taktykę, zdołał się odegrać. O czym mu doniósł wierny Majewski:

– Panie, Jaśko Hajduk za naszą krzywdę i za to żyto z Dzhahilewuszczyny, jęczmienia w Nieznanowie u Janka Szyunkiera naciął. Kilka kop tego będzie.

– Chwacko się spisał. Tośmy pana Niezabytowskiego skwitowali. A niech mi tu na skargę ośmieli się przyjść, tak samo go potraktuję jak on mnie. Jeszcze psami poszczuć każę.

Niezabytowski oczywiście się poskarżył, a wtedy czombrowski dziedzic twardo wypomnił mu działania braci Toukaczów i stanowczo odmówił zwrotu jęczmienia, jak również przykładnego ukarania Jaśka Hajduka, czego się tamten domagał. Jak ty mnie, tak ja tobie, panie bracie. W tej sytuacji pozostawał sąd.

Przebieg tych wydarzeń został dokładnie opisany w pozwie sporządzonym przez adwokata Benedykta Pawłowskiego, który w imieniu dziedzica Czombrowa wniósł o reindukcję do uroczysk Suszczówka i Dzhahilewuszczyna (reindukcja było to



ZDOBYWCY potrafili zarekwirować nie tylko uzątek, ale i żywy inwentarz.

Scena z filmu Pan Tadeusz

(FilMOTEKA Narodowa)

przyznanie przez sąd prawa do ponownego zajęcia dóbr, z których się zostało wcześniej wypędzonym). Zażądał też rekompensaty za skradzione żyto i przykładowego ukarania zuchwałych Toukaczów. Jego klient nie miał zamiaru czegokolwiek darować sąsiadowi. Domagał się obłożenia Niezabytowskiego karami za każdą dopełnioną ekspulsję oraz specjalnymi „penami wiolen-cyjnymi” za gwałty, a już szczególnie za – jak określono to barwnie w pozwie – różne „odkazanki y pochwałki”. Brzmi to kusząco dla wyobraźni, która każe się domyślać, jakież to słowa musiały przy okazji zajmowania spornych terenów paść i co pan podkomorzyc dziedzicowi Czombrowa przy okazji nagadał, że aż się pod sąd kwalifikowało. Do tych postulowanych „pen”, czyli kar, za ekspulsje i gwałty, miało jeszcze dojść pokrycie szkód i zwrot kosztów sądowych.

Niezabytowski nie pozostał w żądaniach dłużny. W swoim pozwie przede wszystkim wytknął sąsiadowi bezzasadność pretensji do Suszczówki i Działhilewszczyzny. Powołał się przy tym na dekret podkomorski wydany na podstawie działu uczynionego

między braćmi Andrzejem a Janem Tuhanowskimi, dawnymi Czombrowa dziedzicami. Owszem, część po Andrzeju Tuhanowskim należy teraz do Uzłowskiego, a część po Janie Tuhanowskim do niego, ale zapis jest niedokładny i pozostawia własność niektórych uroczysk nieustaloną. I te właśnie „działki” Uzłowski, zdaniem podkomorzyca, sobie zawłaszczył. Tu zaczyna się dość pokrętnie tłumaczenie, że Uzłowski jako pierwszy po cichu zaorał i zasiał Suszczówkę tylko po to, żeby sprowokować Niezabytowskiego do jej zajechania. Wiedział bowiem doskonale, że podkomorzyc odbierze swoją własność, a wtedy będzie go mógł oskarżyć przed sądem o gwałt, czyli najazd, i ekspulsję. Zdaniem podkomorzyca podobny cel miał manewr Uzłowskiego z Janusowszczyzną, którą zajął i nie chce zwrócić, czekając na interwencję ze strony Miratycz, żeby wnieść oskarżenie o bezprawne działanie. Trzecie sporne uroczysko, Dziahiłewszczyzna, wedle podkomorzyca, na mocy dekretu sądowego należało do jego nieboszczyka ojca, Jana Niezabytowskiego, i nic wspólnego z Tuhanowskimi nie miało. Uzłowski zaś bezprawnie wykarczował tam las i próbował zaprowadzić uprawy. Zajmując ponownie Dziahiłewszczyznę, właściciel Miratycz odebrał tylko swoją własność. Tak więc Uzłowski bezczelnie i bezpodstawnie oskarżył go o ekspulsję z gruntu i sianożęci.

Dziedzic miratycki zarzucił jeszcze czombrowskiemu, iż ten przymykał oko na wybryki swoich włościan, którzy dopuszczali się różnych swawoli. A już najgorszy według niego był ten Jaśko Hajduk, co Jankowi Szynekierowi z Nieznanowa wyrznął kilka kop jęczmienia, a kilka uszkodził. Niezabytowski podkreślił, że go złapano „przy licu” (czyli z przedmiotem przestępstwa) i w dodatku w obecności czombrowskiego ekonoma, imię Mateusza Majewskiego herbu Starykoń. Do tego właściciel Czombrowa podkomorzyca wyśmiał i obelgami obrzucił, gdy ten zażądał satysfakcji i pokrycia strat. I jeszcze zuchwale oskarżył Ściepana i Omeliana Toukaczów o kradzież zboża i domagał się ich ukarania. Zdaniem Niezabytowskiego podał ich do sądu tylko po to, aby odwrócić uwagę od wybryków Hajduka.

Miratycki dziedzic tu się zaklina, że skargi Uzłowskiego zawarte w pozwie są niezgodne z prawdą. Domaga się od sądu ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii praw do Suszczówki i Działilewsczyczyny, a przy okazji także innych uroczysk o równie dźwięcznych nazwach, jako to Czartkowszczyzna, Żukowszczyzna, Małachwiejowo, Oleszkiewsczyczyna, Sianożęć Toukaczowo, oraz uznania reindukcji Miratycz do zajętej przez Uzłowskiego Janusowszczyzny. Apetyt, jak widać, miał spory. Gra toczyła się teraz *va banque*. Oczywiście domagał się też wynagrodzenia strat i ukarania Uzłowskiego „penami”, nie tylko za ekspulsję z Janusowszczyzny, lecz także za niesłuszne oskarżenia wobec Miratycz o ekspulsję z Działilewsczyczyny i Suszczówki. Wniósł o przeprowadzenie śledztwa i wizji lokalnej co do spornych uroczysk. Przede wszystkim zaś żądał remisji, to jest przeniesienia sprawy z sądu grodzkiego do podkomorskiego, bo u podstaw sprawy leży spór o granice majątności. Skargi o to, kto kogo zajechał czy najechał, jego zdaniem, sąd grodzki powinien rozstrzygnąć dopiero wtedy, gdy kwestie własności zostaną uregulowane przez ziemski.



Sąd grodzki nowogródzki, rozpatrzywszy wszystkie te postulaty, a także uprzednie dekrety, manifesty i działy, łącznie z zapisem braci Tuhanowskich, na który obaj skarżący się powoływali i który dołączono do akt, odrzucił wniosek podkomorzycy o remisję, pozostawiając sprawę w swojej gestii. Czyli tym samym uznał, że ma ona charakter kryminalny. Było to po myśli Uzłowskiego, który wołał, żeby toczyła się w sądzie grodzkim. Dlaczego tak mu było wygodniej, jeszcze się okaże, ale na razie nie uprzedzajmy wypadków.

Na początek sąd nakazał Niezabytowskiemu odstąpić od spornych Suszczówki i Działilewsczyczyny, Uzłowskiemu od Janusowszczyzny, zaś obu dziedzicom powstrzymać się od wszelkich aktów przemocy, dopóki po inkwizycji (czyli przesłuchaniu

świadców i wizji lokalnej) oraz weryfikacji szkód ostateczna decyzja nie zostanie podjęta. Wyznaczeni do tych procedur zostali ze strony Uzłowskiego panowie sędziowie Jabłoński i Wolski oraz pisarz Marcinkiewicz, a ze strony Niezabytowskiego sędzia prezydujący Kmita, pisarz ziemski Tuhanowski i sędzia ziemski słonimski Mikulski. Mieli oni udać się na miejsca zdarzeń, dokonać wizji lokalnej, przesłuchać świadków i sporządzić stosowny raport, będący podstawą dalszego postępowania. A do czasu „pryncypalnej” rozprawy wszelkie gwałtowności i najazdy zostały obu stronom surowo wzbronione. Co poświadczono pieczęcią urzędową i podpisem regenta Sądu Grodzkiego Kazimierza Mackiewicza.



Sprawa szła swoim torem, czyli się ślimaczyła, i następne wypisy z akt są cztery lata późniejsze. Sąsiedzka przemoc w tym czasie tak do końca nie ustała, tyle że zaprzestano gwałtów i ekspulsji i czekając na postanowienia nowogródzkiej Temidy, ograniczano się jedynie do drobniejszych granicznych psikusów, które skrupulatnie zostały w aktach odnotowane. Wysłanie urzędników dla zbadania okoliczności sprawy niewątpliwie dało pole do popisu dla zaciętrzewionych stron.

Ze skarg podanych w 1800 roku wynika, że mimo zakazu sądu Niezabytowski dalej zacierał znaki graniczne i miedze w uroczyskach Suszczówka i Działhilewszczyna. Wykonawcami tych przestępczych działań byli poddani z Walówki: Siemion Borowik, Teodor Baka i Maciej Krywicki. Zaś niejaki Aniszewski, szlachcic, oraz ekonom miratycki Markiewicz podburzali chłopów i nakłaniali do złożenia niekorzystnych dla Czombrowa zeznań. Namówieni do tego zostali Jaśko i Leon Marczykowie ze wsi Konczewicze, poddani wielmożnego Kaszyca, oraz Leon Błocki z Walówki i poszkodowany na jęczmieniu Janko Szynkier z Nieznanowa, a także znani już Ściepan i Omelian Toukaczowie.

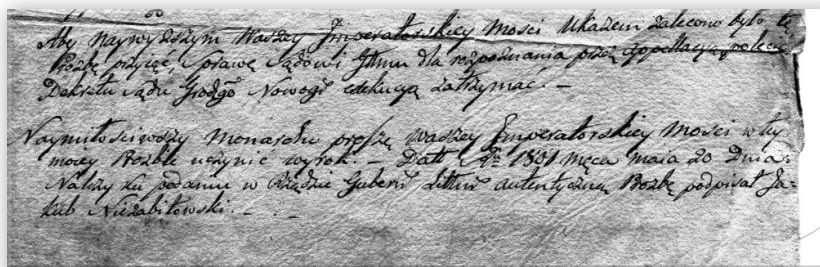


*NA FERMENTOWANIE ŚWIADKÓW świetnie nadawał się wiejski ośrodek życia towarzyskiego, czyli karczma. Scena z filmu Pan Tadeusz
(FilMOTEKA Narodowa)*

Z kolei świadkowie Uzłowskiego, w osobach Aleksandra Kotłubaja, Dowgiella z Horbatowicz i szlachty z Trosiejek, wezwani, aby złożyć zeznania w procesie, „różne przegróзки” czyniąc, namawiali włościan do zeznań na korzyść Czombrowa. Poskarżył się na ów niegodziwy proceder fermentowania świadków ten sam Aniszewski, który w zażaleniu Uzłowskiego podburzał włościan do zeznań na korzyść Miratycz. Jak ty mnie, tak ja tobie, panie bracie.



W roku 1801 zapadł wyrok korzystny dla Czombrowa. Sąd grodzki przyznał wszystkie grunta sporne Uzłowskiemu, ponadto ukarał Niezabytowskiego dwunastoma niedzielami więzy (czyli trzema miesiącami aresztu) i grzywną oraz odrzucił jego dalszą apelację. Nie mogąc dalej się odwoływać, Niezabytowski wraz ze swoimi braćmi w maju 1801 roku wystosował skargę do... cara. Prosili w niej najmiłościwszego monarchę



Przegrawszy sprawę, **NIEZABYTOWSCY** zwrócili się do cara
(zbiory autorki)

o „zatrzymanie skutkami” dekretu sądu grodzkiego. Argumentowano, że Uzłowski pierwszy nieprawnie zajął sporne grunty, a poza tym – tu pada bardzo ciekawe sformułowanie – poszedł do sądu, bo miał tam „sobie spokrewnione osoby”. Wyjaśnia się tu więc zagadka, dlaczego podkomorzycy koniecznie chciał się przenieść do sądu podkomorskiego, a Uzłowski wołał pozostać w grodzkim. Ze względu na znajomości i dojścia.

Ze skargi zaniesionej do tronu wynika, że choć sprawa toczyła się „w grodzie”, dziedzic miratycki zaniósł też pozew do podkomorzego i ten (może z kolei jego znajomy?) dnia 8 grudnia 1800 roku wydał wyrok korzystny dla Miratycz. Ale sąd grodzki dekret podkomorski unieważnił i teraz Miratyczom pozostawała jedynie nadzieja w najmiłościwszym monarsze, iż zaleci jednak pokornej prośby rozpatrzenie i wstrzymanie egzekucji wyroku. Jak się dalej sprawa potoczyła, nie wiadomo. Późniejszych dokumentów brak.

Trudno rozstrzygnąć, czy Czombrów wygrał uczciwie, czy dzięki „spokrewnionym osobom”. W każdym razie walka na pozwu toczyła się równie zajadłe jak na granicznych uroczyskach. Jest to zaledwie drobny wycinek większej zajazdowo-najazdowej sąsiedzkiej panoramy, gdyż jednocześnie Józef Uzłowski procesował się o uroczyska, sianozęcia i lasy z Puszkini z Marulina i Zaroja oraz ze szlachtą z Zubkowa. Każdy z tych procesów miał długą i zawiłą historię procedur sądowych oraz towarzyszących

wymierzaniu sprawiedliwości rękoczynów, w których się zasłużył dziad Adama Mickiewicza po kądzieli, zacny imć ekonom czombrowski Mateusz Majewski. A że niejeden dziedzic na Nowogródczyźnie tak sobie poczynął jak obywatele N. i U., poeta miał skąd czerpać inspirację do swojej szlacheckiej opowieści.

Tu natrętnie się nasuwa pytanie. Czy mianowicie te „spokrewnione osoby”, to przypadkiem nie rodzony ojciec naszego wieszczka, Mikołaj Mickiewicz, naówczas adwokat subseliów, czyli kancelarii w sądzie nowogródzkim, zajmujący się różnymi sprawami, w tym także granicznymi? Sam podobno zresztą niezły pieniacz. Jest rok 1801, Adam Mickiewicz, chrześniak Anieli Uzłowskiej, ma trzy latka. Jego mama Barbara – córka dzielnego ekonoma, biorącego udział w granicznych awanturach – wychowała się w Czombrowie, przed ślubem miała w swej pieczy część gospodarstwa kobiecego jako panna apteczkowa i była w przyjaźni z dziedziczką. Pan Mikołaj nie stanowi wprawdzie „spokrewnionej osoby” w sensie dosłownym, ale przecież rodzony ojciec chrześniaka żony, mąż wychowawcy i zięć zaufanego ekonoma, to nie żaden obcy. Jego nazwisko nie pojawia się na żadnym dokumencie, ale kto wie... Niewątpliwie dodałoby to smaczku całej sprawie.